

Gdzieś na prerii krańcach

AUTOR: JAN KAROW

W westernach panują bezwzględne reguły. Jeśli jesteś słaby, najpewniej zginiesz. Jednak Smolar i Buszewicz nie pokazują postaci podobnych do tych, które pamięta się za sprawą chociażby Clinta Eastwooda.

■ Kiedy zaczynano próby, pewnie nikt w lubelskim teatrze nie przewidywał, jak dyskusyjnym tematem stanie się w ostatnich tygodniach edukacja. Rosnące wątpliwości dużej części społeczeństwa co do wprowadzanych zmian w połączeniu z widmem strajku nauczycieli stopniowo budowały napięcie. Pierwsza kulminacja minęła i w tej chwili temperatura lekko opadła. Egzaminy końcowe i matury odbyły się, lecz reforma wydaje się nie do zatrzymania, a strajk – jeden z największych, jakie widziano po 1989 roku – trwa w zawieszeniu. Kolejnych wydarzeń można spodziewać się bliżej września, przed początkiem kolejnego roku szkolnego. Jak w takim kontekście wyglądają *Kowboje*, których kwietniowa premiera zbiegła się z pierwszymi dniami nauczycielskiego protestu? Na pewno nie można zarzucić im publicystycznej jednostronności czy doraźności. Byłoby zaskakującym rozczerowaniem, gdyby Anna Smolar i Michał Buszewicz uznali na przykład, że problemy zaczęły się niedawno i winna jest tylko minister Anna Zalewska. I chociaż osadzają akcję w pokoju nauczycielskim, odpowiedzialność rozkłada się także na rodziców, kuratoria, dyrektorów, skamieniały system. System, który opiera się na rywalizacji: zaliczaniu sprawdzianów, zdobywaniu punktów, niekończącym poddawaniu się ocenie. Niemniej głównymi bohaterami są nauczyciele, którzy niczym tytułowi kowboje muszą odnaleźć się w ogniu codziennej walki.

Dziki Zachód

Wydaje mi się, że we wspomnieniach ze szkoły dominują te nie najlepsze. Dopiero z czasem, wraz z zacieraniem się szczegółów, powstaje nostalgiczne wrażenie, w dużej mierze wynikające z równoległej tęsknoty za minioną młodością. Moja pamięć o tamtym czasie jest nadal całkiem świeża i nie zdążyła jeszcze zostać poddana obróbce sentymentalizowania. Jeśli chodzi o samo uczenie się, z trwogą uświadamiam sobie, ile wiadomości już uleciało. Szczególnie z przedmiotów ścisłych, które zawsze były mi bardziej odległe. Mimo długich przygotowań do matury z matematyki (byłem w pierwszym roczniku, dla którego była ponownie obowiązkowa), wołałbym, żeby nikt z zaskoczenia nie postawił mnie w sytuacji, w której musiałbym ją napisać ponownie...

Pozwalam sobie na te wynurzenia, bo mam wrażenie, że przez powszechność doświadczenia przejścia przez szkołę i przedstawienie tematu przez Smolar i Buszewicza z kilku punktów widzenia – powstaje szansa na znalezienie przynajmniej jednego skrawka, który dla widzów może okazać się bliski. Dla mnie taki pojawił się już w jednej z pierwszych scen, kiedy w monologu matematyki Joli pojawiło się udawanie jako podstawowy wzorzec zachowania: „Przetrwają najsilniejsi. I ci, co najlepiej udają. Ja udaję przed dziećmi. Dzieci udają przede mną i przed rodzicami. Rodzice przed nauczycielami. Nauczyciele przed dyrekcją. Dyrekcja przed ku-

ratorium. Kuratorium przed ministerstwem. A ministerstwo przed panem Markiem, który jest portierem w ministerstwie, ale się go wszyscy boją”. Jakbym powrócił na pierwsze studia i słyszał jednego z moich profesorów, który, zirytowany na milczenie grupy po zadaniu jakiegoś pytania odnoszącego się do podstawowej wiedzy, wybuchnął: „Ja udaję, że Państwa uczę, a Państwo udajecie, że studiujecie”.

Ten i kolejne tematy pojawiają się w rozmowach prowadzonych w nietypowym, bo w schematycznie reprezentującym saloon, pokoju nauczycielskim. Scenografia Anny Met to zaledwie kilka elementów, ale w tej prostocie jest czytelna. Scenę otoczono niską ścianą z kartonu, w której przejście stanowią znane z westernów, wahadłowe drzwiczki. Po lewej niewielki kaktus, z prawej strony stół z paroma krzesłami i zawieszoną ponad podłóżną lampą. W miejsce horyzontu rozwieszono wielki namiot. Taka przestrzeń wraz z opracowaniem muzycznym Rafała Paradowskiego, w którym mieszało się charakterystyczne brzmienie drumli z surfrockową gitarą, kieruje skojarzenia do świata znanego z filmów o Dzikim Zachodzie i skłania do zastanowienia się nad tym, jacy są tytułowi kowboje.

Rewolwerowcy

W westernach panują bezwzględne reguły. Nie ma miejsca na litość. Jeśli jesteś słaby, najpewniej zginiesz. Albo w pojedynku, albo w napadzie rabunkowym, albo przez przypadek. Jednak Smolar i Buszewicz nie pokazują po-

Kowboje
Michała Buszewicza

reżyseria
Anna Smolar
dramaturgia
Michał Buszewicz,
Anna Smolar
scenografia, kostiumy
Anna Met
światła,
opracowanie muzyczne
Rafał Paradowski

premiera
12 kwietnia 2019

Scena zbiorowa



fol. Natalia Habanow

staci podobnych do tych, które pamięta się za sprawą chociażby Clinta Eastwooda. Najbliżej do tego typu pewności wspomnianej już matematyczce Joli (Jolanta Rychłowska). Ma zaczesane do tyłu krótkie jasne włosy, żółty sweter pod szyję, sznur koralu i brązowe spodnie dzwony. Jest ostoją tradycyjnego sposobu myślenia o szkole. Nauczyciel ma budzić lęk, być nieczuły, podawać wiedzę, mieć swoje stałe miejsce przy stoliku. Kontrola i dyscyplina – to sprawdzone narzędzia, które mimo zmian, reform i deform pozwalają przetrwać. Jak usłyszy od Rodzica (Przemysław Gąsiorowicz) – będącego raczej komicznym reprezentantem różnych negatywnych, często wykluczających się cech (w jednej scenie potrafi być przymilny, by w innej oskarżać o nieróbstwo i marnowanie czasu), aniżeli stereotypowym ojcem – to ona powinna być dyrektorem. Dyrektorem jest jednak młody wufista Maciej (Maciej Grubich), który nie do końca odnajduje się w roli szefa. Stara się spoufalać, opowiadając o wakacjach, na które chciałby pojechać z dziewczyną, ale na samą myśl o wizytacji z kuratorium zaczyna panikować. Groteskowe grono pedagogiczne uzupełniają świetliczanka Edyta (Edyta Ostojak) i geograf Daniel (Daniel Dobosz). Ona – we wzorzystej sukni, z burzą blond loków – chciałaby być nowoczesną, „fajną” nauczycielką, która się uśmiecha do uczniów i jest lubiana. On – nieśmiały, w wyciągniętym swetrze i okularach – ma poczucie bycia zbędnym elementem. Jak gdyby przepraszał, że w ogóle żyje. Dobrze wie, że jest wyśmiewany, do tego obawia się, że jego przedmiot zaraz połączą

z przyrodą, i na dodatek nieszczęśliwie podkochuje się w Edycie.

Do tej pary należą dwa monologi wypowiedziane wśród i do publiczności. Edyta w pierwszej części zwraca się jak do uczniów, którym proponuje wspólną podróż. Jeśli się na nią zdecydować, bez oczekiwań i wzajemnych uprzedzeń, mogą wydarzyć się cuda. Ci, którzy postanowili jej zawierzyć, mogą za taki uznać późniejszą opowieść Daniela. Wykorzystuje wiedzę o tym, że jest przezywany „Koń” i używa tego za podstawę przemiany w mustanga. Zdejmuje okulary, ściąga sweter i okazuje się, że pod nieciekawym pozorem skrywał się ciekawy człowiek, który chciałby poczuć smak wolności. Miejsca jednak na to nie ma i chwilę uniesienia przerywa Dyrektor, wskazując podwładnemu na plecy i dosiadając go.

Obok takich niepotrafiących zdobyć się na odrobinę więcej niż przeciętność nauczycieli są jeszcze dwa elementy, oddające hierarchiczną strukturę edukacji. To, co reprezentuje pojawiająca się w końcowych fragmentach spektaklu kuratorka-Indianka (występująca gościnnie Sonia Roszczyk). Mówi niewiele (jej głos brzmi kilka razy z offu, w głowach nauczycieli, obnażając ich lęki i kompleksy), a niepokój wprowadza samą obecnością: w przeciwsłonecznych okularach, beżowej kurtce i białych spodniach, z czarnym pióropuszem na głowie, ma w sobie coś z dziwności postaci Nobody z *Truposza* Jima Jarmuscha. Chodzi wolnym krokiem, na lekko ugiętych kolanach; ze spokoju nie są w stanie wytrącić jej ani nadgorliwe zaangażowanie dyrektora, ani zarzuty matematyczki Joli.

Jeśli przyjąć, że coś ją jednak przejmie i przychodzi na scenę do (i dla) kogoś, jej celem jest Uczennica (Justyna Janowska), której przekazuje pióropusz.

Problemy mają wszyscy uczestnicy szkolnych pojedynków, ale właściwą ofiarą jest ona. Już przed pierwszą sceną leży na scenie martwa i padnie jeszcze kilkakrotnie. Nie dogaduje się z ojcem, nie bawią jej pseudonowoczesne metody świetliczanki, słownym „pif-paf” zastrzeli ją matematyczka. W wierszowanym monologu, na tle spuszczonego ze sznurowni słońca, przyrówna szkołę do cmentarzyska, gdzie umierała tak na „sali z parkietem w linie”, jak i na lekcji matematyki za błąd w obliczeniach: „Co jeszcze we mnie umarło? Ile tego będzie? / Gdzie leżą dalsze groby? / Wszędzie / Odbывały się magiczne akcje / By unicestwić moje spontaniczne reakcje. / Liczne”.

W ostatniej części przedstawienia pokój nauczycielski znika – szkoła spłonęła w pożarze. Ścianki zostają zdemontowane i otwiera się widok na wnętrze namiotu z porozrzucanymi materacami. W pewnym sensie wszystkie szkoły w tym momencie płoną. Nie wydaje się, żeby pomogły tutaj fajka pokoju czy kilka dolarów więcej. Nie pomoże także prosty układ choreograficzny, który chciano zatytułować *Radość po udanej odsieczy wiecheńskiej* – jedyne, co mają do zaprezentowania tajemniczej kuratorce. Potrzeba głębokiej zmiany w myśleniu wszystkich, których dotyczy edukacja: jej organizatorów, nauczycieli, rodziców. Bez niej na nic zdadzą się okrągłe stoły i w nierównej walce kolejni uczniowie będą padać trupem. ■